

BIZNES / PRACA | 2007-07-10 | MARCIN BOR.

Jak otwierałem fabrykę LG, czyli Great Company Great People

Kiedy rozpocząłem swoją



że drożdże były trochę przeterminowane i przereklamowane.

MUSISZ POKONAĆ SWĄ SŁABOŚĆ

Jest piękna wiosna. Koniec kwietnia. "Odurzony" budzącą się do nowego życia przyrodą, składam papiery do LG. Nie wiem, co osiągnę zawodowo dzięki temu posunięciu i nie piszę w CV o jakichś swoich szczególnych osiągnięciach. Pracowałem już wcześniej w międzynarodowych (europejskich) koncernach i na tym opieram swą "siłę ataku". Po miesiącu dostaję zaproszenie na spotkanie.

Nigdy mnie miałem takiej rozmowy kwalifikacyjnej. Rozmowa jest oczywiście po angielsku, bo koreańskiego nie znam. Przepytyjący mnie Koreańczyk wciąż marudzi, że w sumie nie umiem tego, nie znam się na tym, nie mam doświadczenia tu i że generalnie muszę pokonać swoją słabość. A ja, z potem ciekącym po twarzy, bredzę niczym nawiedzony kaznodzieja, jak to wspaniale byłoby rozwijać swoją karierę w wielkim koncernie LG i poznawać nowe wspaniałe technologie. Gdzie ktoś, kto nawet nic nie umie, zrobi coś, o czym się dowie cały świat. I tak dalej, i tak dalej...

- Musisz pracować dwa razy ciężiej, żeby dojść do takiego poziomu jak ja. - stwierdza z satysfakcją na końcu spotkania mój skośnooki rozmówca. - I musisz pokonać swoją słabość - podkreśla po raz kolejny.

Rzeczywiście mi słabo. Ale to chyba efekt braku wentylacji w pokoju przesłuchań. Aby zakończyć jego męczarnie związane z moją osobą, rzucam na koniec rozmowy odpowiednio wysoką kwotę zarobków, którą oczekuję od firmy.

- Czy jest ona do negocjowania? - zadaje pytanie towarzysząca nam pani z działu zwanego

szumnie HR.

- Zawsze można spróbować - odpowiadam.

Z przebiegu rozmowy wysnuwam jednak jeden wniosek. Nic z tego nie będzie. Jakież jest moje zdziwienie, gdy parę dni później dostaję telefon, że jestem przyjęty.

JAK ZOSTAĆ SZPIEGIEM

Dzień pierwszy. Stawiam się do pracy w tymczasowym biurze przy ulicy Kościuszki. Mało miejsca. Pracownicy ściśnięci jak śledzie przy wielkich biurkach. Zaduch, bo lato mamy w pełni. Jestem w dziale jakości. Duży stół, kilka komputerów i jeden wentylator. Moim szefem zostaje ten sam Koreańczyk od pokonywania słabości. To Mister S. - guru od jakości telewizorów w naszej firmie. "Mister" tak zwracamy się do wszystkich Koreańczyków. Nie ważne czy menadżer, czy zwykły monter. Nie ma czasu na zapoznanie się z biurem, bo dowiaduję się, że za pięć dni jadę na miesięczne szkolenie do Korei. Oczywiście, nie było o tym mowy na rozmowie kwalifikacyjnej, bo przecież byłem osłabiony swoją słabością do pokonania.

Poznaję pierwszą tajemnicę sukcesu Koreańczyków. Działać z zaskoczenia. Taki mały wyjazd w delegację zagraniczną. Prawie jak z Wrocławia do Pragi. Tyle że prawie robi różnicę. Rozpaczam gorączkowe przygotowania, aby zdążyć na czas. Zmieniam plany, które miałem jeszcze dzień temu. Odwołuję wizytę na ślubie kolegi. Najwyżej nie będzie świadka.

- Musisz pokonać swoją słabość. Dowiedzieć się jak najwięcej o kontroli jakości i przywieźć tutaj tę wiedzę i wdrożyć ją - poucza mnie Mister S.

Zaczyna to być nieco podejrzane. Czyżby nasi azjatyccy wybawiciele oprócz walizki pieniędzy na inwestycję pod Wrocławiem nie przywieźli z Korei nic więcej?

Z tym zdobywaniem wiedzy jest mały problem. Na przykład koledzy, którzy w ramach szkoleń jeżdżą do Mławy (tam powstała pierwsza fabryka LG w Polsce), muszą zachowywać się jak szpiegdy przemysłowi.

- Musiałem wprost wykraść dokumentację techniczną i robić zdjęcia z ukrycia, żeby mieć jakiegokolwiek materiały do pracy - opowiada Karol starszy inżynier, który siedzi najdłużej w dziale i usiłuje coś stworzyć z chaosu dokumentacji pełnej koreańskich literek-krzaczków, którą zdobył z narażeniem życia.

TUŃCZYK Z FRYTKAMI NA OBIAD

Niestety w ferworze przygotowań okazuje się, że mój paszport stracił ważność. Ostatnio

używam głównie dowodu osobistego do podróży po Europie. Więc jednak nie pojadę. Po tym co usłyszałem potem od "szczęśliwych" uczestników szkolenia, nie wiem czy żałować, czy nie.

- Nocne marszobiegi, dziesięciogodzinna praca na taśmie produkcyjnej i owocne spotkania z koreańskimi specjalistami, którzy prawie nie mówią po angielsku, tylko potrafią pokazywać na migi - wylicza Karol.

- I codziennie tuńczyk z zimnymi frytkami na obiad - dodaje inny żywy uczestnik szkolenia.

- Dobrze, że robiłem zdjęcia i kręciłem filmiki, bo bym nie miał nic sensownego na temat produkcji - dorzuca inny.

Jeden z kolegów dodatkowo wraca z tropikalną chorobą. Zawsze jakaś pamiątka z dalekiej wyprawy. Biedak nie zdążył się przed wyjazdem się zaszczepić. Zresztą podobno szczepionka zadziałałaby dopiero po miesiącu od szczepienia. Od kolegów się też dowiaduję, że nie widzieli w Korei biur turystycznych. Przeciętny Koreańczyk ma cztery dni urlopu po dwudziestu latach pracy. Jedyna podróż poza miejsce pracy to wyjazd w delegację. Nawet koreańskie dzieci od małego są wychowywane w kulcie nieustannej pracy. Na wakacjach chodzą codziennie na kursy i od rana do wieczora douczają się, aby dostać się potem do jak najlepszej uczelni.

WYSIADYWANIE JAJEK CZYLI NAGDODZINY

Tak więc poznaję drugą tajemnicę sukcesu Koreańczyków. Skoro nie można za długo włóczyć się turystycznie po kraju i świecie, to należy długo pracować. Od rana do wieczora. Cóż z tego, że nieefektywnie. Zasypiający nad laptopem z niewyspania Koreańczyk na początku dziwi, potem tylko rozbawia.

Ja akurat trafiam do działu, który najdłużej "wysiaduje jajka", jak to ja nazywam. Godzina wyjścia z pracy koło 20.00 to standard. Gdy ktoś próbuje się zerwać punktualnie o 17.00, gasi go groźne spojrzenie naszego Mistera S. Zawsze się znajdzie coś, co nie zdążyło się zrobić dzisiaj. I pewnie nie zdąży się jutro. Poza tym najlepiej pracuje się popołudniu. Zresztą skoro On - Szef siedzi, reszta też będzie. Sprawiedliwość musi być na tym świecie, a słabość pokonana.

Podstawą wszystkiego jest codzienny raport do Szefa i komputerowa prezentacja w Power Poincie. Nie zrobiłeś raportu, nie wychodzisz. Mógłby to być nawet raport z nicnierobienia. Byle by był. Po miesiącu Zdzisiek, z którym tworzymy grupę tzw. junior supervisorów, rezygnuje z kursów języka angielskiego po pracy, a na które zapisał się w ramach ambitnego doszkalania.

- To bez sensu. Byłem tylko raz - opowiada zrezygnowany. - Nie mam kiedy pójść, bo ciągle jestem tutaj.

Zdzisiek zostaje naszym pierwszym rekordzistą i wkrótce nie jednym. W ciągu miesiąca ma 168 nadgodzin, a wolną sobotę zna już tylko z opowiadań żony. Musi sobie wrzucić na tapetę zdjęcie swojej małej córeczki na biurku, bo nie długo zapomni jak ona wygląda.

O PRACY MUSISZ ŚNIĆ W NOCY

Mister S. mówi mi, że o pracy należy myśleć nawet podczas snu. On tak robi. Dlatego jest 200% specjalistą i profesjonalistą.

- A mnie w nocy to śnią się laski w bikini i jestem szczęśliwy - żartuję sobie.

Poznaję trzecią tajemnicę sukcesu Koreańczyków. Brak poczucia humoru w pracy. Mister S. patrzy na mnie ciężkim wzrokiem i zadaje mi pytanie.

- Twoja żona ma wypadek albo ciężko choruje i ląduje w szpitalu. Ty masz ważne spotkanie z klientem, od którego zależy ważny kontrakt dla firmy. Co wybierasz? Zostajesz w pracy, czy jedziesz do szpitala?

Ponieważ uwielbiam tego typu głupie i naiwne pytania, odpowiadam bez namysłu:

- Oczywiście, że przychodzę do pracy i negocjuję ważny kontrakt.

- Nie kochasz swojej żony i rodziny? - pyta się Mister S.

- Nienawidzę swojej rodziny - odpowiadam szczerząc zęby słodkim w uśmiechu i spoglądam na dziury w skarpetkach, które Mister S. prezentuje wietrząc stopę na stole.

Pewnie jego nienawidzi własna żona.

Następnie przez dziesięć godzin usiłujemy zaplanować ustawienie mebli w naszym przyszłym fabrycznym biurze. Przesunięcie biurka o 10 centymetrów wiąże z kilkunastominutowym uzasadnianiem szefowi "A dlaczego i po co". Na końcu kłócimy się o to, czy wszyscy mają mieć krzesła. Jak będą mogli sobie za wygodnie posiedzieć, to nie będą doglądać produkcji na linii. Krzesła będą tylko dla wybranych.

A budowa fabryki idzie topornie. Są opóźnienia. Przerażeni perspektywą wizytacji z centrali Koreańczycy z jednej z fabryk obok przyszłej naszej, wysyłają od Korei zdjęcia gotowego zakładu. Skąd my to znamy? Z niecierpliwością czekam na malowanie trawy na zielono.

Mister S. stwierdza, że nie chce mnie mieć w swoich telewizorach i ląduje w lodówkach.

GREAT COMPANY, GREAT PEOPLE

Trafiam do działu lodówek razem z Arkiem, także niechcianym w telewizorach. Arek zadawał za dużo pytań. Okazuje się, że 200% profesjonalistów tego nie lubią. A może nie potrafią odpowiedzieć na zbyt trudne pytania? Tak więc Mister S. skazał za karę Arka na banicję. W lodówkach jest także wspomniany wcześniej Zdzisiek. Junior Supervisor tak jak i ja. Nie bardzo wiemy, co to dla nas oznacza. Pracujemy bez zakresu obowiązków, choć w umowie o pracę mamy, że nasze obowiązki są zapisane w załączniku. Którego oczywiście nie widzieliśmy na oczy. Wszystko tu jest trochę inne, bo juniorzy są w naszej grupie najstarsi wiekiem i stażem. Taki Maciek, który jest Engineerem i stoi nade mną w hierarchii, dyplom

inżyniera dopiero obroni jesienią. Ale za to na pasku wypłaty ma napisane Energetyk. Zresztą to nie ważne. Po co zakres obowiązków i tak się robi to, co Koreańczyk rozkaże. Maciek z racji posiadania swojego samochodu i licencji kierowcy rajdowego jest zaopatrzeniowcem. Jeździ po okolicznych sklepach i przywozi materiały biurowe, a potem śrubki na budowę.

Generalnie w firmie dominują ludzie młodzi. Świeżo po studiach albo tak do trzydziestki. Silną ekipę stanowią absolwenci Politechniki Opolskiej. Staram się odnaleźć "rodaków" z Politechniki Wrocławskiej. Jest ich zadziwiająco mało. Przykładowo taki Aleksander, również Engineer, przyjechał z Krakowa i kończył śląską AGH.

- Po prostu dawali tu lepszą kasę, więc się przeprowadziłem - twierdzi.

Radek, kolejny Engineer, wrócił z Wielkiej Brytanii, żeby na własnej skórze sprawdzić, czy jest sens wracać do Polski.

- Jest fajnie, bo dużo młodych pracuje w firmie. I jest wesoło - nic go nie jest w stanie poruszyć po pracy w Anglii za barem. Nawet wtedy kiedy pod koniec roku zabraknie pieniędzy na firmową kawę i herbatę. A jak wiadomo mocna popołudniowa kawa to podstawa każdego "wysiadywania jajek".

Arkowi wszystko jedno, bo jest zaraz po studiach i liczy się doświadczenie, jakie tu zdobędzie. Po roku będzie się gdzieś związał. Może właśnie do Anglii. Zresztą temat wyniesienia się z LG do innej firmy wraca bardzo często w rozmowach pracowników. Zastanawiam się czemu?

Nie samymi inżynierami i juniorami firma żyje. Zaczynamy szukać ludzi do pracy na stanowiskach robotniczych, bo ktoś musi wykonywać "brudną robotę" i doglądać tych lodówek. Dla niedoświadczonych w temacie jakości lodówek na zachętę: umowa na czas określony, pensja 1200zł brutto i możliwość dorobienia nadgodzinami w sobotę (a nawet i w nocy jak ktoś lubi). Ponadto perspektywa dojeżdżania zatłoczonym autobusem do Biskupiec Podgórných pod Wrocławiem, gdzie będzie stała nasza fabryka. I oczywiście możliwość uczestniczenia w rozwoju jednej z największych inwestycji w kraju. Tak więc zasiadałam w komisji rekrutacyjnej w składzie ja oraz Zdzisiek i czekamy na tłumy walące do nas drzwiami i oknami. Na ścianach za naszym stołem dumne motto firmy GREAT COMPANY, GREAT PEOPLE. Niestety rekrutacja przebiega wyjątkowo opornie i po dwóch miesiącach mamy ledwo połowę potrzebnych pracowników. Za to mam okazję poznać wielu ciekawych ludzi z całego Dolnego Śląska.

NOWY SZEFE Z AWANSU

W Korei mają ciekawy system tworzenia tzw. ścieżki kariery i awansowania. Trzeba popracować w różnych działach, aby zrozumieć całość działalności firmy i aby potem móc zostać np. menadżerem. Tym sposobem z działu informatycznego można wskoczyć do magazynu, z działu przygotowania produkcji do działu zakupów, a z działu personalnego mogą cię rzucić na produkcję. Wszystko wydaje się proste i nawet logiczne. Do momentu kiedy do akcji wkracza koreański specjalista od pianowania lodówek i za żadne skarby nie

chce mu wyjść w Polsce taka sama izolacja pianowa lodówki, jak u siebie w domu.

- Może przez pomyłkę przysłali go tu z tej firmy, która produkuje pastę do zębów - nabijamy się po cichu. Bo firma LG produkuje w Korei prawie wszystko. Od jedzenia, przez chemię do elektroniki.

Tymczasem my czekamy na naszego nowego szefa, który w ramach awansu ma przyjechać z Korei.

- Może będzie normalny - ma nadzieję Zdzisiek.

- Gorzej być już nie może - dorzuca Arek.

- Wiecie czy się różni pesymista od optymisty? - pytam chłopaków. - Pesymista powie, że gorzej być nie może. Optymista, że: może, może.

Wreszcie przyjeżdża Mister A. - nasz nowy szef. Rozkłada na stole obowiązkowego służbowego laptopa i... Przez pierwszy miesiąc jest raczej zagubiony w tym co robi i z kim, tak więc wychodzimy z pracy wcześniej czyli normalnie. Chłopaki od Mistera S. patrzą na nas z zazdrością. Dodatkowo nasz nowy szef bardziej jest zaaferowany zakupem Volkswagena Passata dla siebie i drugiego dla swojej żony, wyborem i urządzeniem domu oraz zrozumieniem zasad promocji, w ramach której dostał swoją złotą kartę kredytową. Niestety później dostaje się pod wpływ Mistera S. oraz zaczyna napawać się swoim awansem. Czyli zarządzać. Znow zaczyna się coraz dłuższe "wysiadywanie jajek".

PRZEPROWADZKA CZYLI W BŁOTACH BISKUPIC

Fabryka nie jest jeszcze gotowa, ale pod koniec sierpnia zapada decyzja. Przeprowadzka do Biskupic Podgórných. Bo mieliśmy być w fabryce terminowo, więc będziemy zgodnie z planem. Tak zarządza prezes. Fabryki jeszcze nie ma, więc tymczasowo zamieszkujemy w kontenerach, których wynajęcie kosztuje drożej niż naszych dotychczasowych biur w centrum Wrocławia. Tu będziemy przyjmować potencjalnych kandydatów na pracowników i naszych kooperantów. Kiedy jest sucho wszystko pokrywa się kurzem i czujemy się jak szczury pustyni. Kiedy spada deszcz, błoto jest wszędzie. Nawet na stołach. A że więcej pada niż jest sucho, porzucamy eleganckie stroje na rzecz ubrań roboczych. Dodatkowe wyposażenie - gumaki. Ci którzy dojeżdżają samochodami załamują ręce. Warstwa błota na lakierze jest grubsza od samego lakieru. A i koło można zgubić na tym poligonie budowlanym. Zbieramy się w grupę i wspólnie dojeżdżamy zdezelowanym Renault jednego z kolegów z działu Blue Ocean.

Blue Ocean to dział mający wspierać nas w pracy swoją propagandą sukcesu. Czyli wmawiać, że jest inaczej niż nasze oczy widzą, a uszy słyszą. Będą mieli sporo pracy. Na zdjęciach zrobionych w Korei widziałem umieszczone w halach tablice z napisami typu "FUN TO WORK". W końcu wieszanie haseł zachwalających pracę ma długą tradycję. Mają być też kamery do podglądu pracy. Wieżyczek strażniczych nie przewidziano.

DZIESIĘCIOPROCENTOWY INŻYNIER

Dzięki olbrzymiemu wysiłkowi pod koniec września rusza produkcja telewizorów. U nas jest z tym problem. Bo, po pierwsze telewizor składa się z kilkudziesięciu części, a lodówka z kilkuset. Po drugie poddostawcy części na bazie koreańskich rysunków technicznych wykonują coś, co w ogóle nie da się zastosować. I tu się trudno dziwić. Zdzisiek odpowiedzialny za rysunki sam ledwo co rozpoznaje, co na nich jest.

- To jakieś chore jest - denerwuje się Zdzisiek, który całymi dniami usiłuje zapanować na dokumentacją i zrozumieć, co jest zatwierdzone przez Koreańczyków, a co nie. I co to oznacza....

A wreszcie, po trzecie, ciągle opóźnia się budowa naszej fabryki lodówek. Za to tworzymy mnóstwo prezentacji, na których pokazujemy, jak wkrótce będzie pięknie. Na razie więc wyręczamy w pracy dział Blue Ocean, który i tak nie ma gdzie powiesić swoich tablic. Z tym prezentacjami chodzimy do prezesa. Prezes jak to prezes. U Koreańczyków wzbudza respekt i nie jest nigdy zadowolony. I na dodatek dużo krzyczy. Kiedy idziemy na prezentację, nasz szef zachowuje się jak przerażone zwierzę, które wpadło w śmiertelną pułapkę i wie, że jego koniec będzie bliski. Na jednej z prezentacji, Aleksander po dwóch dniach owocnej dwunastogodzinnej pracy i wykonania kawałka ciężkiej oraz żmudnej roboty, słyszy od niezadowolonego prezesa:

- Jesteś 10% procentowym inżynierem! Kto pracuje w tym dziale? Musisz pokonać swoją słabość! - docenia wysiłek, lata nauki i doświadczenie zawodowe Aleksandra.

Nie mam zbyt dużo okazji do kontaktu z prezesem, ale nie żałuję. Podobno mówi po angielsku, z tym, że ja go nie jestem w stanie zrozumieć. I tak jest z 90 procentami Koreańczyków, z którymi mam do czynienia.

NG ZNACZY NIE

Aby wspomóc nas w pracach z Korei przyjeżdża kolejny Mister S. Dzięki temu nasz zasób słownictwa technicznego wzbogaca się o nowe słowo - NG. To skrót od angielskiego "negative". Tak mówimy na coś, co jest niedobre. Trzy miesiące później pola odstawcze, gdzie składa się części nie spełniające naszych wymagań, zajmują prawie pół fabryki. NG, NG, NG.

W telewizorach wybucha pierwszy bunt niezadowolonych z pensji pracowników. I ze źle obliczonych nadgodzin oraz z tzw. azjatyckiej kultury pracy. Pracownicy liniowi demonstracyjnie opuszczają obowiązkowe nadgodziny. Kończy się przyjaźń polsko-koreańska. O ile kiedykolwiek była. Ktoś daje w pysk jednemu Koreańczykowi za to, że zbyt nachalnie szarpał go za rękaw w pracy w niedzielę z rana. Też bym jakimś dał. Pojawia się pierwsze próby założenia związków zawodowych. Ale za to można od razu wylecieć - zapowiada prezes.

- Jeszcze z pół roku i spadam stąd - rozmarza się Arek i jak większość w naszym dziale w wolnej chwili przegląda w Internecie portale typu pracuj.pl.

- 10 procentowy inżynier - nie może przeżyć zniewagi Aleksander.- Pierdolę i nie zostaję po godzinach. Niech sami sobie robią.

Tak łatwo to się nie uda. Nasz szef stosuje sprytną taktykę. Kiedy z rana ktoś zadaje mu zbyt trudne pytanie z cyklu "Co mamy robić z tym lub tamtym", znika na parę godzin, zostawiając nas samych z problemem. I jakoś tak dziwnie pojawia się dopiero o godzinie 16.00, kiedy wszyscy chcą wyjść do domu.

- Aleksander dokąd idziesz? Gdzie jest nowa prezentacja i raport? - zadaje pytanie i wszystko jest jasne. I tak jest dzień w dzień.

Wszechobecne błoto i codzienny zimny deszcz w twarz zaczynają mnie coraz bardziej wkurzać. Przemykam po pracy do domu, tak by nikt mnie nie zauważył, jak wracam ubłocony od stóp do głów. Na szczęście dzień jest coraz krótszy, więc powracam taki ubłocony po zmroku. Z takim wyglądem mógłbym się położyć z puszką w przejściu na Świdnickiej i bezstresowo dorobić sobie do pensji.

PORZĄDEK MUSI BYĆ

Od początku pobytu na budowie ciągle sprzątamy. Z rana biegamy po niedokończonej hali i pucujemy miotłami posadzkę, którą zaraz potem zabrudzają budowlańcy. Gdy nie mamy kasków ochronnych, goni nas inspekcja BHP. Gdy wracamy do kontenera, z powrotem na halę gonią nas Koreańczyki.

- Najwyżej zapłacimy karę. Mamy kasę - Mister A. ma na to radę.

Dziewczyny z linii produkcyjnych sprzątają tak cały dzień, bo nie mają jeszcze za bardzo co montować. Kiedy temperatura w hali spada poniżej 15 stopni to zajęcie ma nawet sens. Przynajmniej rozgrzać się można. Zmieniam się powoli w zarządcę mioteł, których brak dotkliwie odczuwamy, bo wszyscy je sobie nawzajem podkradają.

Czara goryczy się przelewa się, gdy nasz dział ma co piątek sprzątać niedopalone pety i inne śmiecie wokół kontenera. Dusza inżyniera gotuje się nam z wściekłości. Stwierdzamy stanowczo, że nie będziemy sprzątać.

- To powoduje większe zrozumienie filozofii pracy w firmie, integrację z jej wartościami, jakimi są czystość i porządek - przekonuje Mister A. i sam dla przykładu zaczyna wybierać niedopałki z błota.

- To niech zatrudniona na etacie sprzątaczką, zasiądzie w międzyczasie na moim komputerze i robi odpowiednie prezentacje, żebym nie musiał siedzieć po godzinach. Może nawet szybciej uruchomimy produkcję. - akurat nie palę i nie widzę powodu, dla którego mam po kimś sprzątać pety.

Jakoś nie przekonuje nas mętne tłumaczenie Mistera A., że sprzątanie petów po prezesie i jego pobratymcach, powoduje większe zrozumienie filozofii firmy. Ostentacyjnie wracamy do baraku. A ja zastanawiam się nad stanowiskiem sprzątacza w Londynie. Z takim doświadczeniem zrobiłbym tam karierę. I te zarobki. Zastanawiam się też, ilu Polaków skusi

się na powrót do Polski z takiej Wielkiej Brytanii w ramach akcji promocyjnej "Wracajcie do Wrocławia. Jest praca".

BOB BUDOWNICZY RAZY PIĘĆ

Wraz Maćkiem dostaję ambitne nadzorowanie budowy komory klimatycznej, w której będziemy męczyć nasze lodówki, tak aby wytrzymały ekstremalne warunki temperaturowe. Od minus trzydziestu do plus czterdziestu stopni.

Budowę komory zaczynamy oczywiście od sprzątania i umycia podłogi. Z Korei przyjeżdża pięciu specjalistów ds. budowy komór i jeden kontener, w którym mają wszystko. Od śrubki do młotka. Od latarki do suwmiarki. Od kleju do rozpuszczalnika. Oczywiście żaden z nich nie mówi po angielsku, dlatego staramy się nie przeszkadzać im w pracy. Wymiana myśli technicznej ogranicza się do prostej konwersacji:

- OK? -
- OK! -
- Good? -
- NG! -
- Why? -
- OK! -

Za to na polecenie szefa robimy dużo zdjęć, aby się jak najwięcej nauczyć. Nie za bardzo rozumiem czemu, bo przecież mamy składać i testować lodówki, a nie montować komory. Ale tu w LG z szefem się nie dyskutuje.

Kiedy specjaliści ds. komór zakładają swoje kaski i chwytają za dziwaczne koreańskie pilowyrzynarki skrzyżowane z siekierami, przypominają pięciu Bobów Budowniczych. Kiedy po złożeniu połowy komory okazuje się, że ściany nie pasują, bo złożyli je odwrotnie, przypominają nam Sąsiadów z słynnej czeskiej animacji. I tak zostaje do końca. Wspólna burza mózgów i radosna improwizacja. Po tygodniu zaczyna brakować śrubek i trzeba uzupełniać ich zapasy w Castoramie czy innym OBI. Po dwóch tygodniach okazuje się, że specjaliści zostaną dłużej, bo muszą dostarczyć z Korei nowe urządzenia i elementy, które popsły się w trakcie instalacji. I tak mamy lepiej. Na hali obok gigantyczne urządzenie do pianowania izolacji lodówek montują Włosi. Bordello bum, bum.

CHORA KOMORA I MYSZY

Wreszcie po wielu bojach uruchamiamy komorę. Podłączamy wysokie napięcie, uruchamiamy pompy z substancją chłodzącą. Nikt z działu utrzymania ruchu nie chce się

przysłać do tego urządzenia. Zamiast odbioru technicznego nowego urządzenia, Koreańczycy rozstawiają ołtarzyk ze świnią i polewając alkoholem dokonują tradycyjnego błogosławieństwa pomyślności, tak aby komora szczęśliwie działała. BHP na całego. Specjaliści-Sąsiedzi zabierają dokumentację techniczną i zmykają do domu. Zostajemy sami z tym tajemniczym urządzeniem. A tymczasem komora ma działać 24 godziny na dobę przez cały tydzień, więc Maciek ma poważne wątpliwości, czy obroni w tym roku dyplom inżyniera. A ja mam poważne wątpliwości, czy przeżyję obsługę tego urządzenia. I czy nie pójdę siedzieć, jeśli komuś niechcący coś się stanie na nocnej zmianie. Kiedy dwa tygodnie później z komory zaczyna coś cieknąć, a szafa sterownicza delikatnie pieści prądem przy nieostrożnym dotknięciu, wątpliwość przeradza się w pewność.

- Jakiś porządny doktor powinien zajrzeć do naszej komory i ją wyleczyć - stwierdzam.

- I przydałby się jeszcze kot, bo myszy jest tu więcej niż wyprodukowanych lodówek. Jak z głodu zaczną przegryzać przewody, będzie afera - słusznie zauważa Maciek.

Za to Sławek, nasz nowozatrudniony inspektor ds. kontroli jest szczęśliwy.

- Będę miał darmowe żarcie dla węża, którego hoduję - i zastawia pułapkę, przy ścianie komory.

ABSOLUTNY TOP 5

Niespodziewanie odwiedza nas sam szczyt managementu LG. Członek zarządu z pierwszej piątki firmy. Jeden z tych, którzy rzadko wychodzą ze swojego 100 piętrowego biurowca LG w Korei. A dokładniej z ostatniego piętra, gdzie zwykły śmiertelnik nie ma prawa wstępu. Chciałoby się wręcz rzec, że to sam "bóg" zstąpił z niebios i zaszczycił nas swoją obecnością. Wizyta "boga" jest ściśle tajna. Ktoś mógłby zrobić jemu krzywdę w ramach wyrażania swoich uczuć religijnych. Sam "bóg" ma na oko około metr pięćdziesiąt wzrostu, antyblotne worki foliowe na stopach i dwa gumaki nie od pary. W dodatku oba lewe. Podobno takie dostał w Castoramie czy innym OBI. Z dumą pokazujemy naszą komorę. "Bóg" z szerokim uśmiechem podchodzi do komory i dotyka klamki od drzwi wejściowych.

- OK - słyszymy jego głos.

- OK - potwierdzamy z dumą, choć to nieprawda.

Mamy kolejne błogosławieństwo. Odpływam ze szczęścia. Przez chwilę byłem tak blisko wielkiego międzynarodowego biznesu. Będę jeszcze opowiadał o tym dzieciom, jak nie zgine porażony prądem. Albo porażony po wypłacie, z której właściwym wyliczeniem wciąż są problemy, co powoduje dalsze niepokoje wśród załogi firmy. Kiedy zapada decyzja o nowej inwestycji TOSHIBY obok naszej fabryki, wiele osób z produkcji zapowiada, że się tam przeniesie, licząc na lepszą kasę.

- Całe szczęście, że gościu nie dotknął szafy sterowniczej. Ale byłaby afera, gdyby go pierdolnęło - mówi pan Zenek, który trzaska u nas drzwiami. - Niemcy to budowali komory - dodaje zaraz ze znanstwem tematu.

KOREAŃCZYK TEŻ CZŁOWIEK

Pan Zenek to ewenement. Zgodził się potrząsać 100 tysięcy razy drzwiami próbnie wyprodukowanej serii lodówek w ramach testowania ich wytrzymałości. W Korei jest do tego specjalne drogie urządzenie. W Polsce mamy specjalnego tymczasowego taniego pracownika tzw. czasownika. Pan Zenek ma około 50 lat, obraca się w szemranym towarzystwie i czas nam umila swymi opowieściami z innego świata.

W przerwach dowiadujemy się od niego, jak to Koreańczycy latają po wrocławskich agencjach towarzyskich, dzięki czemu lokalny seks biznes przeżywa drugi koreański boom inwestycyjny. Przynajmniej ktoś na tym zarobi. Atena czy Lajtmotiw to miejsce obowiązkowych licznych azjatyckich pielgrzymek. Zaraz na drugim miejscu po wizycie w Oświęcimiu.

- Skośnooki też człowiek. Po stresie w pracy musi zaruchać - filozoficznie stwierdza pan Zenek i trzaska kolejny tysiąc jedną ręką. Ma chłop zdrowie.

- Jak akurat nie mam baby, to dużo ćwiczę w samotności - wyjaśnia puszczając oko.

Dwa dni później przy okazji firmowego wyjścia na piwo dowiaduję się więcej na temat znaczenia agencji w życiu Koreańczyka na obczyźnie.

- Żony są do rodzenia dzieci i sprzątania - wyjaśnia po wypiciu jednego piwa Mister S. I chwiejnym krokiem podąża do ubikacji. Muszę mu pomóc, żeby się nie wywrócił.

I CO JA ROBIĘ TU?

Wizytacja top managementu przyprawia Koreańczyków o palpitację serca. Nasz prezes z tej okazji idzie do fryzjera i farbuje siwe włosy na czarno. Mordercze prezentacje wykańczają ostatnich twardzieli. A im bliżej uruchomienia linii montażowej, dyrektor produkcji Mister K. zachowuje się jak oszalały jeleni w trakcie rui. Wydaje dziwne ryki i co chwilę pokrzykuje na swoich inżynierów. Potem wpada na halę i dewastuje wstępnie zmontowaną lodówkę na oczach osłupiałych pracowników myjących linię produkcyjną. Nie mam czasu na dalsze oglądanie postępów w przygotowaniu produkcji, bo przyjeżdża do nas kolejny Koreańczyk, aby nauczyć nas obsługi komory. Ze swą misją bywał tu i ówdzie. W Chinach, w Meksyku. Znaczą się światowiec pełną gębą.

- Macie się od niego jak najwięcej nauczyć - grozi nas szef Mister A. - On wyjedzie po miesiącu. I jak po tym czasie nie będziecie wiedzieli jak wykonywać wszystkie testy, to...

Aluzją zostaje zrozumiana. Mister P. ma wieloletnie doświadczenie i bogatą wiedzę w temacie komór i oczywiście ledwo co mówi po angielsku. Kiedy jednak wyjmuje materiały szkoleniowe po hiszpańsku, załamuję się, a Maciek wydaje z siebie się nerwowy chichot. Chichot ten od jakiegoś czasu pojawia się coraz częściej. Mamy jeszcze materiały

tłumaczone z koreańskiego na nieco bardziej zrozumiały koreański-angielski, ale nie poprawia nam to zbyt samopoczucia. Dodatkowo, w ramach przygotowań do produkcji oraz z braku rąk do pracy, zostajemy rzućni do magazynu, gdzie w pocie czoła montujemy podzespoły, z których mają powstawać lodówki.

- Koreańczycy chcieliby przenieść wolne w Boże Narodzenie na marzec, bo koliduje z ich ambitnymi planami produkcyjnymi - szepce mi do ucha Arek, szukając brakujących uszczerek. - Serio, tak słyszałem. Podobno w marcu mają jakieś swoje święta i dla ich wygody można by je połączyć z naszymi.

- To oni mają jakieś święta? - dziwię się. Przypominam sobie olbrzymie zdumienie Mistera A., gdy usłyszał, że mamy w Polsce po dwadzieścia dni urlopu i kilka długich weekendów w roku.

JAKOŚĆ TO BĘDZIE

W końcu postanawiam jednak wrócić z Azji do Europy. Miesiąc później przypadkiem spotykam kolegę, który dalej pracuje w LG.

- Jaja jak berty. Twój następcą wytrzymał dwa tygodnie. Aleksander, który odpowiada za kontrolę wyjściową, zatrzymuje wszystkie wyprodukowane lodówki, bo nie spełniają norm jakościowych. Mister A. ze strachu przed prezesem, że nie wyprodukowano nic dobrego dla klientów i tak wszystko puszcza na sprzedaż. A zaraz potem wszystkie lodówki wracają z reklamacją. Cyrk chłopie.

Wszystkie lodówki z podwrocławskiego LG mają iść na eksport do Anglii. Mam nadzieję, że żaden z naszych rodaków na brytyjskiej obczyźnie nie dorobił się na tyle, aby kupić tam taką lodówkę wartą około 7 tysięcy złotych. Bo jak zwracając ją do sklepu, dowiedzą się gdzie ją wyprodukowano, to nigdy nie wrócą do Polski.

IMIONA BOHATERÓW ZMIENIONO